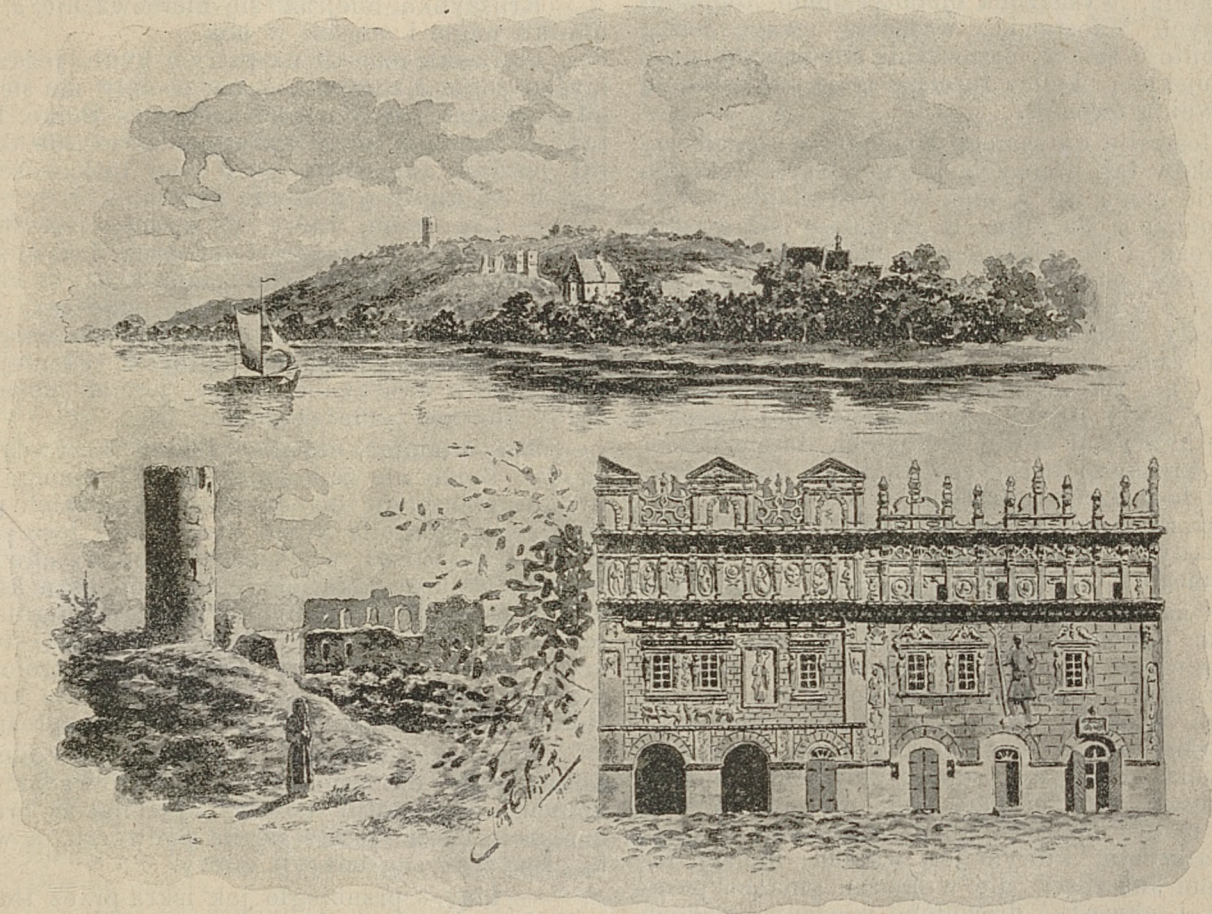


WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Ögólny widok Kazimierza. Zwaliska Zamku. — Starożytny dom.

Z wycieczek wakacyjnych po kraju.

(Kazimierz i jego okolice.)

Kochana Marylko!

Kiedy zęgałam się z Tobą, wyjeżdżając z Warszawy na wakacje, nie domyślałam się nawet milej niespodzianki, jaka mnie spotkać miała. Oto wuja-

szek, chcąc nam zrobić przyjemność, urządził wycieczkę dla zwiedzenia brzegów Wisły.

Zabraliśmy się wszyscy, to jest wujaszek, ciocia L., ciocie: Mila i Wańdzia, ja i jeszcze ktoś, bardzo małutki, bardzo żywy i bardzo od nas wszystkich pieoszony, to jest trzechletnia córeczka wujostwa, Janusia, którą ciocia L, nie chcąc zostawić w domu, aby bardzo nie tęskniła, postanowiła zabrać także.

Doskonałą miała myśl, bo to miłutkie stworzonko było przez całą drogę rozkoszą i uweseleniem nas wszystkich.

Koleją na Iwanogród dojechaliśmy do Nowej-Aleksandryi (Puławy). Już to powiem ci szczerze, że nie lubię wcale jazdy w wagonie: tak chciałoby się popatrzeć na nieznaną sobie okolice, a tu wszystko migą tylko przed oczami. Niema to jak jechać końmi, w wygodnym, otwartym powozie, zwłaszcza, kiedy pogoda ładna i okolice, które się przejeżdża, zajmujące.

Przed południem stanęliśmy na stacyi, a tak ułożyliśmy plan podróży, żeby zjadłszy wcześniej obiad w bufecie stacyjnym, najprzód pojechać do Kazimierza a na noc wrócić do Nowej Aleksandryi.

Jakoż wynająwszy wygodny powóz, wyruszyliśmy w drogę.

Kazimierz jest odległy od Nowej Aleksandryi o wiorst czternaście. Można się dostać do niego Wisłą, ale, że statek w tamtą stronę idzie pod górę, skutkiem czego jedzie się bardzo długo, że wychodzi bardzo rano, bo przed piątą, więc najwygodniej dla nas było odbyć tę przestrzeń końmi.

Przejeżdżaliśmy drogą, wyglądającą raczej jak olbrzymia aleja, wysadzona niebotycznymi topolami aż do samych Włostowic; wszędzie uwagę naszą uderzała obfitość sadów, przeważnie śliwkowych przy chatach wiejskich; okolice tutejsze mają już ustaloną sławę ze swoich owoców.

Od Włostowic do samego Kazimierza jedzie się wśród widoków tak uroczych, iż chyba tylko okolice podkarpackie mogą iść z temi w porównanie. Wierząc mi, kochana Marylko, iż chciałoby się wyskoczyć z powozu i iść pieszo, aby móżdż dłużej rozkoszować oczy podobnym widokiem. Bo wyobraź sobie tylko, z prawej strony Wisłę szeroko rozlaną, która niekiedy sprawia wrażenie, jak gdyby równolegle kilka rzek płynęło — to jej łąchy, i bieleje, srebrzy się na tle ciemnych borów lub sadów wsi sąsiednich; z lewej strony wzgórze znacznej wysokości, porośnięte krzewami żywej zieloności, lasem drzew liściastych, krzakami berberysu; tu znów dla rozmaitości kawał lasu drzew iglastych, a wśród nich sterczą zwaliska zamku Esterki: to Bohotnica; wzgórze, zieleni rozmaitych odcieni, błyszczące fale Wisły: to masz do samego Kazimierza.

Odtąd zaczawszy nowy widok wywołuje w tobie zupełnie odmienne wrażenie. Widzisz jakiś budynek murowany, z potężnymi karpami, wznoszony jakby z myślą o pożytku nie tylko obecnych ale i przyszłych wieków, atoli za zbliżeniem poznajesz, że to już tylko ruina — szkielet silnego, czynnego niegdyś życia. Czas nie zdołał zniweczyć murów, które trwałością swą urągają jego wszechpotężnej, niszczącej mocy, mury te silne, wzniesione z miejscowego materjału, którym jest wapień, bieleją, łudzając pozorem świeżości, ale w środku gmachu porośło zielsko i chwasty, drewniane wiązania dachów, zjedzone przez wilgoć i wpływ atmosfery, runęły od dawna, a gmach sterczy, podobny do olbrzymiej czaszki kościotrupa.

Nie potrzebujesz się pytać, co to za budynki takie: to śpichrze Kazimierowskie. Gmachów podobnych jest kilkanaście; niektóre w lepszym stanie, są zajęte na miejscowe składy, całe, albo częściowo, inne porzucone na pastwę zniszczenia, a ponad niemi, na wyniosłej górze wznoszą się zwaliska zamku.

Wysiedliśmy z powozu i udaliśmy się na obejzienie miasta.

(d. c. n.)

PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Pewnie ten koń dla królewicza — rzekł ktoś z boku — powiadali bowiem, że młody książę uparł się, ażeby podróż odbyć konno, a nie w dusznej kolasie.

— Ale co to się stało, że tak nagle wybrano się w drogę? — zapytał ktoś drugi. — Przecież mówiono, że jeszcze cały tydzień król przebędzie na zamku kruszwickim.

— Bóg to raczy wiedzieć — odparł zapytany i dodał szeptem: — Podobno wojewoda otrzymał jakieś wiadomości, że rycerstwo zbiera się na wiece przeciw Sieciechowi. Słyszałem też coś o tym drugim synu królewskim, o Zbyszku.

Kruszynka obejrzał się nierozważnie, a mówiący umilkli nagle i odeszli w bok.

— Łaska pańska na pstrym koniu jeździ — pomyślał sobie Kruszynka i lży cisnęły mu się do oczu, gdy widział, że ten sam królewicz Bolko, który teraz wyfrunie w świat na wspaniałym rumaku, wczoraj jeszcze zapewniał go o swej łaskawości i przyrzekał, że nigdy o nim nie zapomni.

— Cóż jemu, który do korony jest stworzony, mogą znaczyć ja, biedny garbusek, bez ojca, matki, bez krewnych. Ani ręka moja oręż dźwignie, ani pierś wytrzyma ciężar stalowego pancerza. Nie miał nikogo lepszego, więc bawił się mną i ze mną, w Gnieźnie i Poznaniu znajdzie lepszych, zacniejszych — i zapomni o Kruszyńce, który jednak może jedyny dałby chętnie życie za niego.

Tak dumając, czynił chłopiec krzywdę królewiczowi. Bolko nie zapominał, ale od samego rana tak był przymuszony do czynienia wszelkich przygotowań i tak otoczony przez Sieciecha i jego popleczników, że nie mógł wydostać się ani na chwilę. Czy wojewoda może lękał się, ażeby do uszu królewicza nie doszła jaka wieść niepotrzebna o Zbigniewie, czy też przecucie mówiło mu, że od wieży strażniczej grozi niebezpieczeństwo? — dość iż sama królowa i sam Sieciech starali się tak zająć od świtu królewicza Bolka, że Kruszynka czekał i czekał napróżno.

Arabczyk wierzył niecierpliwie, musiano go kilkakrotnie dla uspokojenia przeprowadzić po dziedzińcu, ale ostatni powóz wyjechał za bramę, gdy nareszcie cisza zrobiła się na podwórzu, a w ślad za tą ciszą wszyscy odkryli głowy.

— Idą — przebiegło jak iskra przez tłum, który zarówno na podwórzu zamkowym, jak i po za murami cisnął się zwartą masą, ażeby przyjrzeć się wyjazdowi monarchy.

Pierwszy wybiegł królewicz Bolko, ale zanim podążył do wierzchowca, z podwyższenia, na którym się znajdował, badawczo rozglądać się zaczął w okół. Kruszyńce serce biło gwałtownie, zazdrościł też w tej chwili tym, którzy wyżsi od niego wzrostem, łatwiej wpaść mogli w oko.

Bolko patrzył długo, nareszcie uśmiechnął się wesoło i szybko podszedłszy do konia, włożył nogę w strzemię. W jednym mgnieniu oka był już na siodle, ujął cugle wprawnie i arabczyka skierował nie ku bramie wjazdowej, lecz w kierunku wręcz przeci-

wnym, w stronę wieży strażniczej, przy której stał Kruszyńka. Tym rozstąpił się z uszanowaniem, a na korytarz wybiegł wojewoda, wołając za odjeżdżającym:

— Przecież nie tędy wiedzie droga do Gniezna.

— Wiem sam o tem — dumnie krzyknął Bolko — muszę jednak pożegnać moją wieżę ulubioną i tych, którzy strzegą naszego Gopła, a których szanuję i kocham.

Sieciech skinął na Stonogę, zanim jednak ten zdążył przyskoczyć, królewicz był już obok Kruszyńki.

— Żegnaj cię, przyjacielu — rzekł Bolko, podając rękę chłopcu — i bądź pewny, że nie zapomnę o tobie. Czekaj na mnie w Mielżynie.

— Nie w Mielżynie, nie, nie — odparł Kruszyńka pośpiesznie — tu na was czekać będę, miłościwy książę, tu wasza obecność jest nam wszystkim potrzebna.

— Czyżby Prusacy? — zapytał Bolko i zmarszczył brwi groźnie.

— Gorzej — wybuchnął Kruszyńka.

— Więc któż grozi Kruszwicy?

— Sieciech, Zbigniew, Mazury, albo ja wiem zresztą.

— Mówisz od rzeczy, przyjacielu — uśmiechnął się królewicz.

— Prawdę mówię — szepnął chłopiec i uderzył się w piersi na znak przysięgi — tu w tych lochach zamknął Sieciech waszego brata Zbigniewa, mojego ojca przybranego Maćka z Mielżyna, Radonia z Boruku, Jarosza.

— Człowieku, chyba zmysły postradałeś — zawołał Bolko.

— Prawdę mówię; na krucyfiks przysięgnę.

W tej chwili nadbiegł właśnie Stonóg, Kruszyńka przeto przyłożył palec do ust.

— Wasza miłość ociąga wyjazd — rzekł Stonóg układnie — a pan nasz czeka i niecierpliwi się bardzo.

— Jadę już, jadę — odparł Bolko niechętnie.

Stonóg nie oddalał się, co widząc królewicz,

pochylił się na koniu i objął Kruszyńkę za szyję, ażeby go pocałować i szepnąć do ucha:

— Jeżeli to prawda, co powiedziałaś, to kara Sieciecha nie minie, ale jeżeli skłamałaś, to biada ci! W każdym razie dziś w nocy wyrwę się z drogi i przybędę do Kruszwicy. Czekajcie z Winczem.

Głośno zaś dodał:

— Bywaj, przyjacielu, o łowach cię zawiadomię.

Żegnany okrzykami i głębokimi ukłonami ludu, który znów zgromadził się licznie, orszak monarszy oddalać się zaczął, bramy dziedzińca zamknęły się za odjeżdżającymi i po gościńcu potoczyły się wozy, otoczone jeźdźcami.

Król zanadto był osłabiony, ażeby taką daleką drogę do Gniezna odbyć mógł bez odpoczynku, na-przód też wyruszył oddział służby, którego zadaniem było przygotowanie wszystkiego, co potrzeba na przyjęcie tak dostojnych gości.

Przy karocy królewskiej podązał na koniu gnajdym, rośliwym i silnym wojewoda, a baczne miał oko i czuwał też troskliwie nad prawidłowością podróży.

Słońce wysoko już stanęło na niebie, gdy Sieciech zarządził postój w Mogilnie.

— Czy przeczekamy tutaj do jutra? — zapytał królewicz Bolko, którego piekła niecierpliwość i w którego głowie tkwiły ciągle słowa Kruszyńki.

Sieciech spojrział uważnie na chłopca i odparł z przekąsem:

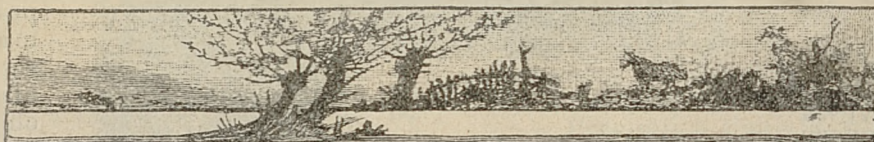
— Czyżby w tak młodym wieku już dokuczyć miała krótka droga z Kruszwicy do Mogilna?

Bolko przygryzł wargi, w oczach ukazały mu się złowrogie błyski, ale pohamował się i rzekł dumnie:

— Nie o mnie tu chodzi bynajmniej, ale widzę, że król jest zmęczony i jemu należą się względy.

— Rozumiem troskliwość, sam też z pewnością nakazałbym tutaj odpoczynek. Mogilno jednak zbyt ubogą jest siedzibą, ażeby się w niej można zatrzymać dłużej, trudno o jakiegokolwiek wygody. Dlatego pobawimy się krótko, pokrzepimy się nieco i ruszymy ostro dalej, ażeby przed wieczorem stanąć w Trzemesznie, a jutro urządzimy wjazd do Gniezna.

(d. c. n.)



Lipiec.

Minął radosny
Czar pierwszej wiosny,
Przycielnął gaj.
Słowik nie śpiewa,
Okwitły drzewa.
Hej! hej! gdzie maj?
Czerwiec z kolei,
Pełen nadziei,
Przeminął już.
Niosąc swe dary.
Obfitszej miary,
Wśród woni róż.
Baśnią go złoci,
Ów kwiat paproci,
Co w straszną noc,
Po dniu Kupały.
Ma skarb wspaniały,
Dać w śmiałka moc.

Przy długim dzionku,
Owoc na słonku,
Dojrzejże wczas.
A tuż w zawody,
W pyszne jagody,
Stroi się las.
Na bujnej łące,
Sianko pachnące,
Siele tłum kos.
A już z daleka,
Chyląc się, czeka
Na sierpy kłos.
Modre bławatki,
Kąkole, bratki,
Pąsowy mak.
Mile się wdzięczą,
Zdobiąc barw tęczę,
Niw płowy szlak.

Och! już nie długo,
Miedz ciemnych smugą,
Wśród fali niw. —
Sierp w zwawej dłoni,
Wiosce wydzwoni,
Godzinę żniw.
Kłosa i ziola,
Padną dokoła
Ale w ich trop,
Na żętym łanie,
Pyszenie powstanie,
Za snopem snop.
Tak zakres letni,
Lipiec uświetni,
Za czerwcem tuż.
Gdy w jego końcu,
Zbierze się w słońcu,
Plon złotych zbóż.

E. Lejowa.

B. Dyakowski.

NASZE ROŚLINY UPRAWNE.

(Dalszy ciąg).

Skoro chleb zajmował tak ważne miejsce wśród pokarmów, nic dziwnego, że nie mogła obejść się bez niego żadna uczta, żadna większa uroczystość. Dla tego też chleb odgrywa zawsze ważną rolę przy wszystkich obrzędach; stąd powstał zwyczaj wypiekania na różne uroczystości specjalnych chlebów. Zwyczaj ten przechował się do naszych czasów nietylko wśród ludu, który w ogóle najdłużej trzyma się dawnych zwyczajów i tradycji — ale częściowo i w innych warstwach narodu.

Weselne kołaczce czyli korowaje, — symbol przyszelego chleba nowożeńców, spotkać dziś można już jedynie na weselach włościańskich. Ale nie tak dawno jeszcze były one konieczną częścią każdej uczty weselnej w całym naszym kraju, a krajanie ich odbywało się uroczystość, i wszyscy obecni, nie wyjmując młodych dzieci, musieli dostać po kawałku. Nawet dla nieobecnych krewnych i przyjaciół zostawiano działki na znak, że nowożeńcy powinni móżdż w przyszłość obdzielić wszystkich swym chlebem. Jako symbol pomyślności, kołacz weselny musiał być ogromny.

Jak dalece był on konieczną częścią uczty weselnej, widzi się z następującego wiersza Szymonowicza, poety z wieku XVII:

Kołacz grunt wszystkiemu, a
[można rzec śmiecie,
Bez kołaczy jakoby nie było
[wesele!

Laską w próg uderzono, już kołaczce dają,
A przed kołaczami panie nadobne śpiewają.

Z czasem w domach zamożniejszych kołacz przemienił się w marcepan weselny, oraz inne słodkie ciasta; stanowiły one tak zwaną cukrową kolacę, która w tej postaci przetrwała do dziś dnia. Dziś weselne kołaczce tylko lud wypieka, ale zato cukrowa kolacya — odmienna postać tego samego weselnego chleba, stanowi składową część uczt weselnych ludzi zamożniejszych. Zato powszechnie przetrwały do dziś duże strucle wigilijne, pączki i chróst czyli faworki na zapusty, a wreszcie baby i mazurki wielkanocne, te baby, o których jeden z humorystów ułożył sonet cały:

Babo, o babo przedziwnego smaku!
Zdobi cię lukier różanymi wzory,
Kolorowego nie szczędzono maku,
I w czub ci wpięto pęk bukszanu spory.

Z babami i mazurkami wielkanocnymi znamy się wszyscy dobrze, i wszyscy jesteśmy ich zwolennikami w mniejszym lub większym stopniu. Czytelnicy „Wieczorów” nie mają zapewne również nic przeciwko nim. Niechajże, spożywając te dary wielkanocne, wspominają sobie, że te baby i mazurki — to również pozostałość dawnych uczt uroczystych, przy których koniecznie musiał być chleb w specjalnej postaci, chleb uosabiający sobą dobrobyt i pomyślność.

Na ważne znaczenie chleba wskazuje również poszanowanie, cześć, jaką cieszył się on u dawnych Polaków. Ludzie dawni oceniali wartość chleba, ciężką pracę, z jaką trzeba go było zdobywać. „Dla chleba rano wstać trzeba” i „nie dospać trzeba, kto chce dostać chleba”. „Kawałek chleba nie spadnie z nieba: pracować trzeba.” Zнали oni z własnego doświadczenia, jak ciężka jest praca koło roli, szanowali więc chleb.

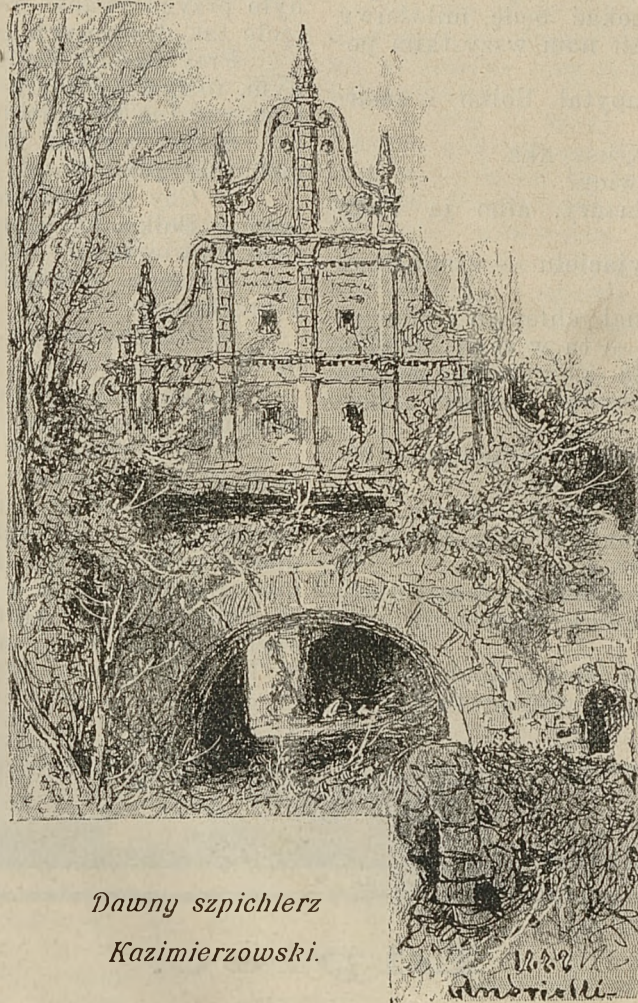
Dlatego to siadając do posiłku, zawsze zdejmowali nakrycie z głowy; a jeżeli przypadkiem upadł komu kawałek chleba na ziemię, to go podnosił i całował, jakby dla przeproszenia za zniewagę. Broszurka z XVII wieku pod tytułem: „Dwornstwo obyczajów” tak objaśnia ten zwyczaj: „Czemu chleb, kiedy w trafunku na ziemię upadnie, całujemy, podniosłszy? — bo w i e m chleb jest święty”. Lud zachowuje bardzo często ten zwyczaj i teraz, a w dowód poszanowania dla chleba w wielu okolicach nazywa go „świętym”, tak samo, jak i ziemię „świętą ziemią”, która go rodzi.

Łatwo pojąć, że tam, gdzie chleb był w takim poszanowaniu, nikt go nie marnował lekkomyślnie, nie żałowano go jednak nikomu, dzielono się nim chętnie z drugimi: nie godzi się marnować daru Bożego, zdobytego ciężką pracą i znojem, ale też nie godzi się odmówić go głodnemu i nie mającemu się czem posilić.

U dawnych Polaków, zarówno u kmieci, jak u szlachty istniał piękny zwyczaj, że w świetlicy, gdzie przyjmowano gości, leżał zawsze na stole bochen chleba, przysłonięty lnianym obrusem lub ręcznikiem. Zwyczaj dodatnio malujący gościnność naszych przodków, i ich gotowość do podzielenia się chlebem. Dziś zwyczaj ten dochował się jeszcze tylko tu i owdzie u ludu, (w niektórych okolicach Mazowsza i Podlasia). O człowieku niegościnnym mówiono z pogardą: „z nikim się chlebem nie przełamał”.

2. Mąka i kasza.

Jak to było, co to było,
Zanim w kołacz się zmieniło,
W ten nasz nowy chlebek biały,
Co nim działki się łamały?



Dawny szpichlerz

Kazimierzowski.



Nowy sport amerykański Autopolo. (p. Ze święta).

Zapytuje Marya Konopnicka w swej „Pieśni o chlebie” i opowiada następnie dzieje chleba, poczynając od tej chwili, gdy „Stary Szymon”

Przeciągnął się, skrobął w głowę
Zaprzął w sochę wołki płowe
I wyruszył orać pole. —

Aż do tej, gdy wreszcie zebrawszy pomyślnie zboże z pola, wiezie je do młyna i tam mówi do młynarza:

Mielcież je na Boską chwałę,
Żeby na rok cały stało;
Mielcież je na kamień nowy,
Żeby chleb się darzył zdrowy!
Odbierajcie precz otręby,
Żeby ludzi nie kłuł w zęby.
Mielcież i na kołacz biały,
Żeby dzieci radość miały.

My teraz nie puścimy się jeszcze śladem poetki i nie sięgniemy tak daleko, aż do pierwszych chwil kiełkowania zboża, lecz poprzestaniemy tymczasem na gotowym już ziarnie, zwracając jedynie uwagę na to, jak się z niego otrzymuje mąkę, dla czego się ją miele, jakie w niem zachodzą zmiany i dla czego nie wszystkie mąki posiadają jednakową wartość.

Dlaczego się miele mąkę? pytanie na pozór zupełnie zbyteczne, boć każdy bez namysłu odpowie, że dla tego, aby ją uczynić łatwiejszą do spożycia, smaczniejszą i strawniejszą od twardych, suchych ziarn. Bez wątpienia, że tak. Ale czy mielemy całe ziarno na mąkę, czy też odrzucamy z niego jakie części, a jakie mianowicie i dla czego?

Pierwotnie ludzie nie mieli wcale ziarn, lecz spożywano je w całości, uprażywszy na ogniu. Aby je zaś uczynić przyjemniejszymi i łatwiejszymi do jedzenia, mniej suchymi, przodkowie nasi używali na pokarm ziarn niezupełnie dojrzałych i nie całkiem stwardniałych, zawierających jeszcze tak zwane mleczko. Potrawa taka nosiła nazwę „prażma”, a dochowała się jeszcze dość długo, bo wspomina o niej Szymon Syreński, pisarz z początku XVII w. (r. 1613) „Krupy żytnie (albo pszenne) z prażma, to jest z ziarna niedoskonale dojrzałego, w kłosie zerznętego i w słońcu albo w piecu suszonego”

Z czasem atoli przekonali się ludzie, iż praktyczniej jest zbierać ziarna dojrzałe, rozcierać je na mniejsze cząstki, albo nawet na proszek, otrzymując w ten sposób krupy (kaszę) lub mąkę i z nich dopiero przyrządzać potrawy. Do rozcierania ziarn służyły począ-

tkowo stępy, w których poprostu tłukło się je mniej więcej tak, jak my dziś tłuczemy cukier w moździerzu, a następnie żarna, w których rozcierano je pomiędzy dwoma kamieniami.

(d. c. n.)

PIERŚCIEN.

(Dokończenie).

— Zanieśmy! — odpowiedziano jednogłośnie.

I w nadzwyczajnem skupieniu zbliżono się do leżącego na liściu paproci pierścienia.

Z temże samem skupieniem i powagą nachylono się nad nim.

— A kysz, a kysz! — wołał Jasiek, czyniąc znak krzyża świętego.

Chłopcy i dziewczęta, wstrzymując oddech, słuchali tych zaklęć. Z zabobnym strachem patrzyli na pierścień i podziwiali nadzwyczajną odwagę towarzysza.

A ten schyliwszy się, zwinął pierścień w liść paproci i wyrwawszy krzak jej cały z wielką ostrożnością, niósł go, jak się niesie rzecz drogocenną.

I szedł tak w otoczeniu całego grona do małego kościółka a raczej kapliczki, stojącej na skraju sąsiedniej wioski.

Az i księżyc się schował, gwiazdy gasnąc pochyły a świt poranny zarumienił obłoki.

Po chwili wyłoniło się słońce, ozłociło krzyż na kapliczce a przez niewielkie, wąskie okienka i drzwi otwarte, kładło snopy światła u stóp ołtarza.

Zamodlony pustelnik, który dozorował kaplicy, nie zwrócił nawet uwagi na wchodzących.

Zresztą było to we zwyczaju, że włościanie idąc do pracy, wchodzili do kapliczki na pacierz a dziewczęta wieńczyły ołtarz zielenią.

Wszedł więc i Jasiek z całym gronem, przykląkł przed ołtarzem a potem wraz z liśniami paproci zawiesił drogocenny pierścień u stóp krzyża, z którego z pochyloną głową spoglądał Zbawiciel świata.

I usta całej tej młodej rzeszy wyszeptaly:

— Przyjmij o Panie skarb ten w ofierze, przyjmij o Panie!

I z tem westchnieniem i z wielką powagą opuścili kapliczkę.

Aż po chwili Jasiek ozwał się nakazującym głosem:

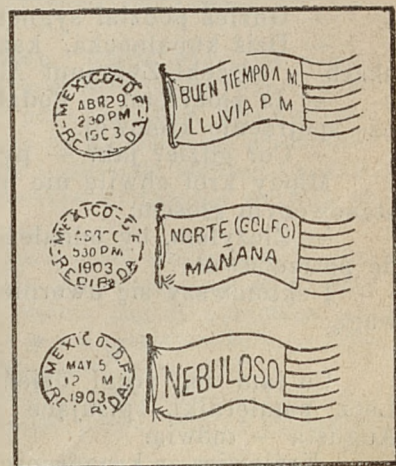
— Nie rozpowiadajcie o tym skarbie!

— Boga mi, nie! — zaklęli się wszyscy.

— Takiego skarbu nikt dotknąć nie godny! — przygroził dalej.

— Boga mi nie!

— Niechaj zostanie do tej godziny, aż przyjdzie chwila, kiedy sam Pan Najwyższy na jakąś wielką potrzebę zabrać go pozwoli... — mówił Jasiek uroczystym głosem.



Znaki przepowiadające stan pogody. (p. Ze święta).

— Przysięgnijcie! — dodał, podnosząc rękę prawą do góry.

— Przysięgamy — odpowiedziano chórem, podnosząc jak Jasiak ręce.

Słońce w całej swej potędze obrzuciło te młode głowy jasnym promieniem, zjrzało do ich duszy i napełniło wielką błogością...

Każdy szedł do swej pracy, wierząc, że znaleziony skarb przyniesie nie tylko im, lecz i wiosce całej wielkie a niezwykłe szczęście.

II.

Tej samej nocy w pobliskim lesie do z rycerska ubranego młodzieniaszka, skradającego się cichaczem wśród krzaków, podszeł średnich lat jegomość i surowym rzekł głosem:

— Jak jego królewska mość mogłeś najdostojniejszą królową matkę i nas wszystkich takiego strachu i niepokoju nabawić!...

Młodzieńczyk spojrział na mówiącego a potem przyłożywszy palec do ust szepnął:

— Cyt, mości ochmistrzu, czyż nie wiesz, że to dzisiaj kupałnoka i każdy jej może według swego upodobania używać.

— Ale waszej królewskiej mości nie wolno na kilka godzin samemu z zamku się oddalać! — mówił łagodnie lecz stanowczo ochmistrz.

— Jeżeli jestem królem, mogę robić, co mi się podoba! — odrzekł butnie młodzieńczyk.

— Tyle razy już powtarzałem, że królowi najmniej wolno.

Lecz młodzieńczyk nic już nie rzekł, tylko nachmurzywszy jeszcze więcej czoło, wszedł do oczekującej go kolasy i zasunawszy się w głąb, udawał, że drzemie, żeby się od dalszych wymówek i nauk surowego ochmistrza uwolnić.

Uchronił się też rzeczywiście, lecz nie uchronił od wymówek matki.

Królowa Bona bowiem zaniepokojona zniknięciem syna, rozesała na wszystkie strony, żeby go szukano. Rozkazując wszakże poszukiwanie, przykazywała:

— Jeno nie robić hałasu; szukać a nie rozgłaszać o zniknięciu jego królewskiej mości — uwłaczałoby to jego godności i powadze!...

Lecz gdy się Zygmunt August ukazał, zapomniała o gniewie i chwyciła go w swoje objęcia.

Pomiarkowawszy się wszakże i przypomniawszy sobie, że miała go ukarać, odepchnęła i surowo spojrziała.

Wzrok jej padł na ręce syna.

— Gdzieś podział sygnet? — zawołała gniewnie.

— Dziś kupałnoka, każdy składa lub znajduje skarb — odrzekł Zygmunt August.

— Ja złożyłem! — dodał, wytrzymując badawcze spojrzenie królowej.

— Co? gdzie? jak? — pytała Bona.

Młody król chwilę nic nie odpowiadał, aż rzekł stanowczym głosem:

— Złożyłem, by odnaleźć, gdy najwięcej go będę potrzebował.

I skłoniwszy się dwornie, wyszedł z wielką powagą.

* * *

Co tam na drugi dzień było, historia milczy. Lecz pamiętniki, opisujące wychowanie Zygmunta Augusta — mówią:

„Królewicz za krnąbrność i nieposłuszeństwo matce na pokucie był skazany. Raz zaś zamknięty był na 24 godzin o chlebie i wodzie za jakąś nadzwyczajną samowolę.”

Czy to było po owej kupałnoczce, trudno się domyślić. To tylko wspominają, że królewicz ogłoszony i koronowany na króla, jeszcze za życia ojca roku pańskiego 1530 a w dziesiątym roku życia swego, był bardzo butny i nieraz lubił na swoim postawić.

Lubił też nocne, samotne wycieczki i był bardzo hojny; rozdawał, co miał. Te nawyki do końca życia mu pozostały. A została i krążąca dotąd między ludem legenda:

— Jednego razu w kupałnocy znaleziono bogaty pierścień i zawieszono go w ustronnym, samotnym kościółku. Gdzieby był ten kościółek, nikt nie wie i nikt tego pierścienia nie odnajdzie, chyba ten, co żadną złą myślą serca swego nie splamił a zapotrzebuje skarbu dla innych, nie zaś dla siebie.

Z. Morawska.



(Dalszy ciąg).

Bogaci teraz jesteśmy — mówiła. — Bylibyśmy bogatsi, gdyby nie ten niegodziwy Jan Kamp. Ojciec powiedział mi, dlaczego zakopał pieniądze. Podejrzał Jana o nieuczciwość i lękał się, aby nas kiedy nie ograbił, bo wiedział o naszych pieniądzech. Ale ten złodziej widocznie wypatrzył kryjówkę i ukradł nasze oszczędności. O! niech go Bóg za to osądzi.

— Cóż robić, matko — westchnął Janek. — Nie myślmy już o tych pieniądzech.

— Gdzież te dziewczęta poszły? — zapytała rozglądając się.

— Są po drugiej stronie domu — i skierował się ku nim, a za nim poszła pani Brinkerowa.

Andzia siedziała na starym pieńku ściętej wierzby, a Hania stała przed nią.

— Ładnie tak wyglądacie — odezwał się Janek.

— Podobny obrazek widziałem w galerii w Amsterdamie.

— Andzia wygląda teraz jak wróżka — mówiła Hania.

— Doprawdy? — roześmiała się. — A więc dobrze. Będę wróżką, chrzestną matką twoją i Janka. Przyjechałam tu do was na wozie ciągniętym przez motyle! Uważajcie! Mam moc tak wielką, że potrafię spełnić wasze życzenia. Ty Janku, mów pierwszy, czego pragniesz?

Z poważną miną spojrziała na niego.

— Dobra wróżko — mówił Janek — pragnę gorąco znaleźć to, czego wczoraj daremnie szukałem.

Hania roześmiała się, ale pani Brinkerowa westchnęła i powróciła do domu. Wróżka trzykrotnie uderzyła nogą o ziemię.

— Spełni się twoje życzenie; myślcie sobie o tem co chcecie!

Potem wyjęła z kieszeni fartuszką czarny paciorek i upuściła go na ziemię.

— Zakop perłę w tem miejscu, w którym nogą ziemię uderzyłam — odezwała się znowu — a nim słońce wejdzie, spełni się twoje pragnienie.

Hania śmiała się na cały głos.

Wróżka brwi zmarszczyła.

— Niedobre dziecko — wołała uroczyście — ukarzę cię za zuchwałość, skoro śmiejesz się ze mnie nie spełni się twoje życzenie.

— Cha! cha! cha! kochana wróżko, ja jeszcze żadnego życzenia nie wypowiedziałam.

Ale Andzia nie śmiała się wcale; tak przejęła się rolą wróżki, że odeszła poważnie z miną wyraźnie obrażoną.

— Dobranoc, pani wróżko! — wołało za nią ródzeństwo.

— Dobranoc, śmiertelni! — odkrzyknęła, biegnąc teraz ku domowi.

— Jakaż ona miła i ładna! — zachwyciła się Hania.

— Ale co tobie, Janku? Taki jesteś zamyślony.

— Poczekaj a zobaczysz.

Wszedł do domu i powrócił zaraz, niosąc łopatę i drąg żelazny.

— Zakopię perłę magiczną i to głęboko.

I zabrał się gwałtownie do roboty ku wielkiemu zdziwieniu Hani.

Pan Brinker spał, żona jego szybko przebierała drutami, by jaknajprędzej skończyć zamówioną parę pończoch. Ogień dogasał, więc przyrzucała torfu; — czego te dzieci marzną na dworze? — myślała. Wyszła więc cicho z pokoju i przywołała je.

— Matko! matko! — usłyszała wołanie Janka.

— Co się stało?

— Co się stało? — powtórzył. — Pieniądze zakopane są niewątpliwie koło starej wierzby, którą ścięliśmy na wiosnę. Daremnie szukaliśmy wczoraj. Młoda wierzba była małym drzewkiem wtedy, kiedy ojciec zakopywał pieniądze. Hej!...

Zatrzymał się chwilę.

— Jest matko, jest!

Pani Brinkerowa nie mogła mówić. Przykłęka obok syna i dojrzała gliniany duży garnek. Janek wyjął z niego cegłę jedną, drugą, trzecią, wreszcie spleśniały skórzany worek, w którym brzęczały pieniądze.

Jakaż to była chwila! Płacz i śmiech rozlegał się jednocześnie. Kiedy wrócili do domu, kilka razy przeliczyli pieniądze. Brinker twardo spać musiał, skoro nie obudził go nieostrożne wybuchy radości jego rodziny.

— Śpij, śpij biedaku — mówiła żona — już ci teraz niczego nie zabraknie; nie poczujesz chłodu ani głodu.

I płakała z rozrzewnienia. Tego wieczoru sutą zastawiła dzieciom wieszki.

— Nareszcie mogę nie skąpić wam jedzenia, dzieci moje drogie — mówiła.

Po kolacyi długo modliła się, dziękując Stwórcy, że po tylu dniach ciężkich zesał jej dzień tak radosny.

Jednocześnie Andzia rozmyślała, co też Janek zgubił i jakby to było dziwne, gdyby właśnie znalazł tam swoją zgubę, gdzie perłę zakopie.

Jankowi śniło się tej nocy, że Andzia prowadziła go przez duży las wierzbowy. Pod każdą wierzbą stał garnek z pieniędzmi, a Andzia nie była wcale zwyczajną dziewczynką ale prawdziwą wróżką. Na gałęziach wierzb kołysały się sznury pereł, wisały łyżwy srebrne i wieńce z zegarków a wróżka od czasu do czasu wyciągała opiekuńczą rękę nad ich domem.

Jedno szczęście przyciąga drugie — mówi stare przysłowie. U Brinkerów jeszcze przed znalezieniem skarbu wyjaśniła się także historia zegarka, tak starannie pomimo biedy chowanego.

Pani Brinkerowa, widząc jak szybko postępuje wyzdrowienie męża, odważyła się pokazać mu ów

sławny zegarek. Wziął go do ręki, obejrzał. — Aha! coś sobie przypominam — wyrzekł. — Zdaje mi się, że nie miałem czasu opowiedzieć ci, skąd mam ten klejnot.

— Biedny chłopiec! — mruknął po chwili. — Lepiej się stało może, że nic ci nie powiedziałem, bo to nie moja ale cudza tajemnica — dodał kiwając głową.

— Rafale — rzekła Brinkerowa — czyż nie masz zaufania do twojej żony, która przez lat dziesięć pielęgnowała cię jak mogła i umiała.

— Ja do ciebie nie mam zaufania? Co ty mówisz, Maryniu?

— A tak — odparła smutno — skoro ukrywasz coś przede mną.

— Nie mów tak, bo mi tem robisz przykrość — rzekł powoli. — Przecież to nie mój sekret. Zresztą chyba grzechu nie popełnię, jeśli ci wszystko opowiem. Chłopiec już pewno umarł.

— Jaki chłopiec? Pewny jesteś że umarł?

— Pewności nie mam, ale jeśli żyje, byłby to cud prawdziwy.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

(z rycinami).

Nowy sport amerykański. Znana jest zapewne naszym czytelnikom gra pod nazwą „Polo”, a przynajmniej czytaliście może jej opisy, bo nawet „Wieczory Rodzinne” w swoim czasie zamieściły rycinę, tę grę przedstawiającą, z załączeniem dłuższego opisu o sposobie grania. Dziś nadmienimy tylko, że gra „Polo”, uprawiana ze szczególniejszym zamiłowaniem przez Paryżan, polega na tem, że jeźdźcy na koniach za pomocą długich kijów starają się nadać kuli taki kierunek, aby wpadła na zakreślony teren przeciwnej partyi grających. Zabawa ta wymaga dużej zręczności, a przedewszystkiem wielkiej umiejętności w powodowaniu koniem.

Amerykanom, żadnym niezwykłych wrażeń, sport nie przedstawiający nadzwyczajnych niebezpieczeństw nie wystarcza, dlatego też wymyślili bardziej przypadającą do ich gustów grę „auto-polo” t. j. zabawę w piłkę na samojazdach.

Grający jedną ręką trzyma kierownik pojazdu, drugą kłoci kulę. Rozumie się wzajemne najeżdżania, w rezultacie czego ciągłe uszkodzenia samojazdów są na porządku powszednim. Często nawet w czasie gry zdarzają się i poważniejsze wypadki tak, że zazwyczaj do szczęśliwych zalicza się gracza, który wyszedł z walki cało.

To właśnie i granie z niebezpieczeństwami ma dla amerykańkan wielki urok i wskutek tego „auto-polo” cieszy się wielkiem wśród nich powodzeniem.

Przepowiednie pogody. Wiadomo jest, jak wielkie znaczenie posiada dla rolnika możność przewidywania pogody na pewien okres naprzód, gdyż wtenczas odpowiedniemi rozłożeniem robót polnych może się zabezpieczyć od skutków nieoczekiwanych zmian pogody i jeżeli nie uniknąć zupełnie, to przynajmniej znacznie ograniczyć wyrządzone wskutek tego szkody w gospodarstwie.

W uznaniu tego faktu austriackie ministerium handlu postanowiło, aby główne biuro meteorologiczne w Wiedniu rozsyłało telegraficzne przepowiednie pogody wszystkim biurom pocztowym, które są obowiązane przedstawiać te przepowiednie na każde żądanie zainteresowanych.

Zwyczaj rozsyłania codziennie przez pocztę każdemu kto tego zażąda kart z przepowiedniami pogody istnieje już dawno w Stanach Zjednoczonych.

Jeszcze praktyczniejsze urządzenie zaprowadzone jest w Meksyku: poczta otrzymuje codziennie wskazówki, dotyczące zmian atmosferycznych i odpowiednio do odebranych wiadomości do zwykłych stemplów pocztowych, jakie się we

wszystkich krajach odbija na kopertach, dołączając jeszcze specjalne znaki według przyjętego typu.

Tym sposobem wszelkie zmiany powietrza bywają zapowiedane w najodleglejszych stronach Meksyku.

Załączony w dzisiejszym numerze rysunek przedstawia trzy przyjęte rodzaje znaków, przepowiadających stan pogody.

Napis na górnej chorągiewce oznacza co następuje:

Rano piękna pogoda.

Po obiedzie deszcz.

na środkowej:

Burza z ulewnym deszczem.

na dolnej:

Powietrze mgliste.

Odpowiedzi Redakcyi.

Mazurowi z nad Wisły. Żądanie twoje niemożliwe jest do spełnienia, gdyż dla zadośćuczynienia mu wypadłoby cały numer zadrukować jedynie adresami, a tego, przyznasz chyba sam, uczynić nie możemy.

Irenie R. Szkic twój zawiera dużo uczucia i wykazuje pewną umiejętność wypowiedzenia się. Pracuj dalej, a pracuj tem pilniej, że jeszcze teraz robisz nawet błędy ortograficzne: *żądać* np. zawsze pisze się przez *ż*.

Winicyuszowi. O wystawie w St. Louis znajdziesz wkrótce w „Wieczorach” szereg artykułów, które zapewne będą zawierać interesujące cię informacje.

Polsk. Makowi. Wiersz twój nie udał się; nie mówiąc już o słabych rymach, brakuje mu rytmu, a i sens mimo dobre chęci nie bardzo się jakoś klei.

Odpowiedzi działu zadaniowego.

Trafne rozwiązania zadań z ostatnich numerów przysłali następujący czytelnicy: Mazur z nad Wisły, Realista, Płoczanin, Staś z Grocholic, Jadzia Z. i Stefan Kotecki.

Łamigłównki własnego układu nadesłane przez K. Bierackiego, Mazura z nad Wisły i Stefcieję Kos. zaliczone zostały do druku.

Zosi S. z Petersburga. Taką samą, jak nadesłana przez ciebie łamigłównkę posiadamy już w tece redakcyjnej.

Winicyuszowi. Łamigłównka kropkowana nie może być drukowana, gdyż wybrałaś nieodpowiedni temat. Może opracujesz jakie inne zadanie dla „Wieczorów”.

LOGOGRYF.

ul. Włodzimierz Kalinowski.

Z podanych niżej sylab ułożyć należy *czternaście* wyrazów, których początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół, składają imiona i nazwiska dwóch poetów polskich.

Sylaby: A—a—aj—bis—che—cho—czech—dya—dy—dło—

da—e—i—in—ig—ka—mło—moy—my—mik—nac—nin—nia—re—ron—sław—ski—ta—tek—wła—za.

Znaczenie wyrazów: 1) wykrzyknik. 2) Państwo w Europie. 3) Postać biblijna. 4) Narzędzie rzemieślnicze. 5) Przewód chemiczny używany do mycia. 6) Imię męskie w ludowym brzmieniu. 7) Przedstawiciel jednej z narodowości słowiańskich. 8) Rodzaj pojazdu. 9) Dziki mieszkaniec Ameryki. 10) Synonim wyrazu odgłos. 11) Imię męskie. 12) Ptak brodzący, czczony przez starożytnych Egipcyan. 13) Wyrabiający chemikalia. 14) Sławny kanclerz.

SZARADA.

od Złotego Słonka dla Srebrnej Gwiazdki.

Pierwsza z trzecią zazwyczaj w wiejskim płocie siedzi.

Drugiej z trzecią poszukaj na herbowej tarczy,

Chociaż z równą pewnością znajdziesz też w oborze.

Wszystko, naczynie w kuchni z blachy lub też z miedzi,

Na ogniu pełne stoi w obiadowej porze,

A pokarmu dla licznej rzeszy z niego starczy.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go.

Zadania arytmetycznego:

Z zadania widać, że na każdego wypadło po 8 denarów, czyli 24 denary ogółem. Stąd wnioskujemy, że każda potrawa kosztowała 3 denary i Arab, mający 5 potraw, wydał 15-cie denarów, czyli powinien z pieniędzy 3-go Araba otrzymać 7 denarów. Również jasnym jest, że Arab, który miał 3 potrawy, wydał na nie 9 denarów, a zatem po odjęciu 8 denarów, jakie przypadały za jego własny obiad — winien otrzymać 1-n denar z pieniędzy 3-go Araba.

Zagadki szaradowej: Nauka.

OGŁOSZENIA.

Pensjonaty lecznicze dla dzieci

Julii Benoni Dobrowolskiej

w Zakopanem

ul. Jagiellońska willa „Nieczuja”, otwarta rok cały.

w Rabce

willa „Stara Kolonia”, otwarta przez sezon letni.

3—3

Biuro nauczycielskie

JAHOLKOWSKIEJ.

Warszawa. Marszałkowska Nr. 118.

Poleca nauczycielki, bony, cudzoziemki.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Z wycieczek wakacyjnych po kraju (z ryc.) — Psie pole, powieść Włodzimierza Trąpczyńskiego. — Lipiec, wiersz przez E. Lejową. — Nasze rośliny uprawne, przez B. Dyakowskiego. — Pierścień. — Srebrne łyżwy, przekład A. M. — Ze świata (z ryc.) — Odpowiedzi redakcyi. — Łamigłównki i rozwiązania. — **Dodatek:** Czy go nie znacie, wiersz przez Irenę Mrozowicką (z ryc.) — Dary, przekł. M. G. — Moje opowiadania, przez Zofię Bukowiecką — Dobry ogrodniczek (ryc.) — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Sewerka, powieść przez W. Marréné-Morzowską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 14 Юня 1904 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.



Czy go nie znacie?

Nazywa się... mniejsza o to!
Jest to przecie jeden z was —
Więc i tak poznacie kto to,
Gdy go tu opiszę wraz.

Ma lat... dobrze nie wiem przecie,
Taki sobie mały człek,
Jakich mnóstwo jest na świecie —
A więc mniejsza i o wiek.

Oczka czarne, włoski płowe...
Ach, przepraszam! może nie —
Oczka ponoć lazurowe...
Ot, jak mi się pamięć rwie!

Tak niedawno go widziałam,
A opisać trudno tak —
Jedno tylko spamiętałam,
Że mu kołnierzyka brak.

I że jego rączki, buzia,
Przed miednicą mają strach,
Skarżyła się niania, Rózia,
Że kłopotu ma z nim... ach!

Coś tam tatuś i mamusia,
Już radzili nad tem raz —
Chłopezyk słuchał ich jak trusia,
Lecz nauczka poszła w las.

Oj, wstyd wielki, wielka bieda
Może jeszcze z tego być —
Bo się to już zmienić nie da,
Że się dzieci muszą myć.

Irena Mrozowicka.

DARBY.

przełożyła z angielskiego

M. G.

(Dalszy ciąg).

Poszli przez cmentarz — a była już zupełna noc i weszli na wieżę. Na samym szczycie były małe drzwiczki zaryglowane z zewnątrz.

Krewniak kucharki, leśniczy, uderzył nogą w drzwi i zawołał:

— Jest tam kto?

Dzieci stały przytulone do siebie, jak najdalej ode drzwi, drżące z niepokoju, zachrypnięte od krzyku, z trudnością mogły mówić, ale Cyryl zdobył się na chrapliwą odpowiedź:

— Jesteśmy!

— Jakim sposobem dostaliście się tu?

Nie podobna było odpowiedzieć: „Na skrzydłach”, więc Cyryl odrzekł wymijająco:

— Weszliśmy tu, a potem zastaliśmy drzwi zamknięte i nie mogliśmy już zejść. Wypuście nas...

— Ilu was tam jest? — badał leśniczy.

— Tylko czworo! — odparł Cyryl.

— Czy macie broń?

— Co takiego?

— Bo ja mam nabitą strzelbę i radzę wam nie próbować żadnych figlów! — upominał strzelec. — Jeżeli otworzymy drzwi, czy przyrzekacie zejść spokojnie na dół, bez żadnych głupstw?

Kiedy już podsuwano rygle, strzelec powiedział donośnie przez dziurkę od klucza:

— Nie otworzę, dopóki nie odejdziecie na drugą stronę wieży. A jeżeli który zbliży się do mnie — strzelę! Macie do wyboru...

— Jesteśmy już na drugiej stronie wieży — odpowiedziały głosy.

Strzelec był zadowolony z siebie i uważał, że jest bardzo odważny, gdy otwierał drzwi, i wchodził na dach. Przy świetle stajennej latarni ujrzał grupę zrozpaczonych więźniów, stojących przy balustradzie na drugiej stronie wieży.

Opuścił na dół strzelbę i o mało co nie wypuścił z rąk latarni.

— Niech mnie piorun trzaśnie? — krzyknął. — Toż to gromada bębnow!

Pastor wystąpił teraz na front.

— Jakeście się tu dostali? — zagadnął surowo. — powiedzcie mi natychmiast!

— Ach! pozwólcie nam zejść na dół! — zawołała Kizia, chwytając go za połę surduta — a opowiemy wszystko! Nie wierzycie nam, ale mniejsza o to! Ach! pozwólcie nam tylko zejść!

Zeszli wreszcie na dół i poszli do biblioteki pastora, gdzie przybiegła i pani pastora.

Pastor osunął się w fotel, wyczerpany przebytymi wzruszeniami i pełen zdumienia.

— Ale jakim sposobem zostaliście zamknięci na wieży? — zapytał.

— Weszliśmy na dach — odpowiedział powoli Robert — byliśmy bardzo zmęczeni i zasnęliśmy — a obudziliśmy się, zobaczyliśmy, że drzwi zamknięte i zaczęliśmy krzyczeć..

— Wiemy o tem dobrze! — dodała pani pastora — bo poprzestraszaliście na śmierć wszystkich! Powinniście się wstydzicie swoich wrzasków!..

— Wstydzimy się bardzo! — upewniła łagodnie Kizia.

— Ale kto zarygłował drzwi? — badał pastor.

— Tego nie wiemy — odpowiedział Robert zupełnie szczerze. — I prosimy bardzo o odesłanie nas do domu.

— No! Myślę, że to będzie najlepsze. Andrzej! Załóż konia i odwieziesz dzieci do domu..

I tak wyszli z tej przygody lepiej, niż można było przewidywać. Tylko Marta była bardzo rozgniewana i zapędziła ich do łóżka z gradem wymówek, a nazajutrz cały dzień przepędzili w areszcie domowym, tylko Robert.. Ale to już należy do następnej powieści.

V.

Dar wzrostu.

Zaczęło się to wszystko od bójki, jaką Robert stoczył z chłopcem od piekarza, bardzo dużym i niepospolicie pyzaty, nawet na swój wzrost. Robert sam zaczął — to prawda — zarzuciwszy niebacznie sznur od skakania na szyję piekarczyka, którego spotkali idąc do piaskoludka z nowym życzeniem na dzień dzisiejszy. Ale chłopiec od piekarza postąpił nikiemnie, wcale nie jak gentleman. Zamiast walczyć uczciwie, jak przystało na porządnego chłopca pięściami, chwycił podstępnie Roberta za włosy i zaczął go kopać. I odniósł nad nim zupełne zwycięstwo, bo Kizia uczepliła się z krzykiem Cyryla, nie dając mu iść na pomoc Robertowi, zaś Antea była tak przestraszona, że chwyciła za ubranie piekarczyka, przepraszając go w imieniu Roberta. Skończyło się na tem, że chłopak pędził przed sobą Roberta aż na dół do kopalni i kopiąc go, wrzucił w kupę piasku!

Cyryl był bardzo rozgniewany na Kizię. Robert był wściekły na Anteę. Dziewczynki były głęboko zmartwione, a wszyscy źli na piekarczyka. I było — jak piszą w powieściach „milczenie pełne głębokiego wzruszenia.”

Robert bił nogami i pięściami w piasek i tarzał się ze złości.

— Niech on poczeka aż urosnę, ten podły tchórz nienawidzę go! Zapłacę mu to jeszcze.. I to dla tego tylko, że jest większy ode mnie!

— Ty sam zaczęłaś — przemówiła niebacznie Kizia.

— Wiem dobrze, że sam zacząłem! Ale mu zarzuciłem tylko sznur na szyję, a on mnie pokopał dla tego, że silniejszy! Patrzcie!

Robert zsunął pończochę i pokazał czerwoną plamę na nodze, skórę zdartą do krwi.

— Chciałbym tylko być większy od niego — tylko tyle.. nic więcej! — krzyczał ze złością.

Zanurzył ręce w piasku i zerwał się z ziemi, bo jego palce dotknęły czegoś kosmatego. Był to rozumie się — piaskoludek..

(d. c. n.)

Zofia Bukowiecka.

MOJE OPOWIADANIA.

(Dalszy ciąg).

XI.

Mieczysław II-gi, Kazimierz Odnowiciel.

Umarł Bolesław! umarł wielki król! — wołali dworzanie i drużyna Chrobrego. Płakali po dobrym gospodarzu, żalowali orła, który ład całego kraju w szponach swych trzymał.

A orzeł zwiesił głowę, zastygł mu dziób, nie rozewrze go już, żeby skrzyknąć wojsko, choć płoną wici, włodarze dają znać o nieprzyjacielu. Ze zdrętwiałych szpon wypadło berło monarsze, wypadł szczerbiec; nie podniesie berła, nie chwyci miecza martwa ręka królewska.

Sąsiedzi wiedzą już o śmierci Chrobrego i ostrzą zęby jak wilki gotowe rzucić się na stado bez pastusza.

Dziwi was to, prawda? Toż sąsiad sąsiadowi ratunek nieść powinien w nieszczęściu, ratunku i pociechy miał prawo się spodziewać osierocony przez śmierć ojca Mieczysław II-gi.

Tak naucza wiara chrześcijańska i tak ludzie czynić powinni, często czynią jednak inaczej, stąd nienawiść, kłótnie i wojny. Państwo Piastów takie młodzieńcze i zaledwie zrastające się z różnych plecion miało dokoła siebie wielu nieprzyjaciół. Nienawidzili nas Niemcy zato, że broniliśmy skrzywdzone współplemienne ludy nad Łabą, nie lubili nas Czesi, gdyż oni to chcieli rej wodzić w Słowiańszczyźnie, zgrzytali zębami Pomorzanie, bo przywykli do rozboju, woleli rabować kupców nad morzem niż pracować jak inni. Zazdrościła sławy Ruś, zazdrościły Węgry.

Siła złego na jednego!

Niemcy, Czesi, Węgrzy, Ruś, słowem wszyscy sąsiedzi udawali przyjaźń, póki żył wielki wódz, na którego imię bladły twarze nieprzyjaciół. Co będzie teraz gdy umarł?

— Co będzie? — myślał Mieszko i szedł smutny za trumną ojca.

— Biednyś ty królewiczu, grożą ci źli ludzie ze wszystkich stron, niedość że musisz odpędzać sąsiadów, ale pamiętaj i w domu twardo ład trzymać, inaczej zginie przesławne Chrobrego dzieło.

Tak mówili starzy towarzysze Bolesławowych wypraw, tak biadali kasztelanowie po grodach, i mieli słuszność.

Chrobry związał w jeden snop liczne plemiona, jak żniwiarz wiąże kłosa i trzymał mocno powrósto, żeby się nie rozluźniła więź, ale plemiona te nie miały jeszcze czasu zrósć się z sobą, jak zrastają się z sobą bracia, których jedna chowała matka.

Mazur z pod Płocka przywykły do równin, inny miał obyczaj, niż góral od źródeł Wisły; Ślązakowi dziwną wydawała się mowa osadnika z nad Sanu i Bugu. Jednego to szczeptu byli synowie, tylko nieprzywykli dotąd we wspólnem siedzieć gnieździe, a brakło króla ojca, który w mocnej garści wszystkie dzieci trzymał i klócić się im nie pozwalał.

Mieczysław dobrze jednak z początku zabierał się do roboty. Najprzód uroczysty pogrzeb ojcu wyprawiał, a potem kazał włożyć sobie na głowę koronę Chrobrego, Szezerbiec do boku przypasał i przysięgł nie żałować krwi za ojcowiznę, byle całą oddać ją kiedyś swoim synom. Miał ich dwóch, starszego Bolesława i młodszego Kazimierza, starszy sposobił się przy ojcu do rycerskiego stanu, młodszego matka Ryksa ofiarowała na służbę Bożą, a że sama była Niemka, więc w niemieckim klasztorze Benedyktynów chował się mały Piastowicz.

Zuch był Mieczysław, piersi śmiało wrogom nadstawiał, ale i zuch nie poradzi, kiedy się z nim każdy wadzi, a tu kto żył napadał na jego dziedzictwo i darł je w szmaty. Czesi zabrali Morawy, Węgrzy urwali kawał ziemi Słowiańskiej za Karpatami, Duńczycy napadli na Pomorze.

Czesi, Węgrzy, Duńczycy! a przecież monarchowie tych narodów byli krewnymi naszego króla, płynęła w żyłach króla Czeskiego krew Dąbrówki; Piastówny do Węgier i do Danii wiarę chrześcijańską zaniósł.

— Jakże więc mogli napadać na ojcowiznę krewnego? — pomyślcie. — Jak mogli! — Przykro tłumaczyć wam takie sprawy, bo przykro i smutno jest przyznać, że nietylko ten jeden raz, ale tysiąc razy będziecie się uczyć w historii o podobnych czynach królów chrześcijańskich. Wiele one sprowadziły nieszczęść na świat, wylano dużo krwi, dziś jeszcze najwięcej sił i najwięcej bogactw się traci przez wojny, bo i dziś jeszcze mało kto szczerze przyznaje, że nie należy czynić drugim tego, czego nie chcemy, aby nam czyniono, że w miłości bliźniego leży źródło postępu.

Ale wracam do kłopotów Mieczysława.

Najgorszym, najzawziętym jego wrogiem byli jak zawsze Niemce. Sam Cesarz z wielkiem wojskiem przeszedł naszą granicę, Mieczysław zwołał lud, mężnie się potykał, nie mógł jednak dać ra-

dy wojsku niemieckiemu. Biedny król, biedne Piastowe piskłę! Mnie tego Mieczysława okropnie żal. Bo pomyślcie tylko, dotąd rosło w potęgę młode państwo Polan i każdy z książąt przysparzał mu chwalebę. Dzielnymi monarchami byli pierwsi Piastowicze, wystrzelił nad nich mądrością i potęgą Mieczysław I, zajaśniał po nad wszystkich sławą Bolesław Chrobry, a teraz miałoby źli sąsiedzi rozdrapać gniazdo zbudowane pracą tylu rąk?

Nie rozdrapali, ostało się gniazdo, bronione do ostatniej kropli krwi.

Widzieliście nieraz, że bociany krążą nad cudzą siedzibą, a jednak zabrać jej nie mogą, bo bocianięta nastawiają dzioby, biją skrzydłami i pomagają rodzicom odpędzić rabusiów. Dlatego to praojciec Lech przykazywał, aby być podobnymi ptakom, dlatego orła na drzewcu nosić kazał przed gromadą. Pokąd wszyscy synowie wiernie stoją przy gnieździe, potąd pewne ono i nikt go nie zedrze ze strzechy, ale biada gniazdu, w którym ptaki na siebie szpony podnoszą.

(d. c. n.)

Dobry ogrodniczek.



Ach!

jaka susza! trzeba polewać moje kwiaty.

ZADANIE LITEROWE.

ul. Safo dla Wł. Raczk.

	1								
	8	2	6						
	13	4	3	8	15				
	11	15	3	4	3	8	15		
1	2	3	4	5	6	7	8	2	
	10	4	15	6	14	8	2		
		1	15	7	5	16			
			2	8	2				
						2			

Zamiast liczb podstawić należy litery tak, aby środkowy pionowy szereg głosek utworzył nazwisko kompozytora polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Ptak. 3) Gruby sznur inaczej. 4) Inię żeńskie. 5) Nazwisko kompozytora. 6) Przesmyk. 7) Taniec. 8) Organ wzroku. 9) Samogłoska.

FIGIEL.

podala Wisienka dla Niebieskiej Perelki.

Na stację kolei Kaliskiej w Łowiczu przysły dwie osoby czarno ubrane i starsza powiedziała do młodszej:

„Żegnaj mi, mój drogi synu!”

Kim była starsza osoba dla młodszej, jeżeli on był jej synem, a ona nie była jego matką?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go.

Zagadki: Babka.

Zadania konikowego; Kto z dobrych szydzi,
Tym Bóg się brzydzi.

Skrzynka do listów.

Myślałam, że nie odbiorę już ani jednego liściku, że moje piskłeta wyfrunawszy na wakacje, zajęte ogródkiem, konną jazdą, kąpielą, zapomniały o Jaskółce, że skrzynka pusta będzie. Otwieram ją z bijącym sercem, sięgam do dna i... o radości! wydobywam paczkę liścików. Wprawdzie, mówiąc między nami, daty ich dawne, snąc nie spieszo się bardzo z wysłaniem, są jednak, i świadczą o waszej życzliwości dla Jaskółki. Więc też Jaskółka dumna uznaniem swej rzeszy, nastroszyła piórka z godnością i pokazała redakcyi... jakże się to mówi po łacinie, panowie filologowie? aha, już sobie przypomniałam, *corpus delicti*, czyli dowód, że nawet na wsi, nawet wśród zabawy moja rzesza nie zapomina o mnie. Po tym wstępie uciekam do mego kącika przy stole i stuliwszy skrzydełka, żeby zbytnią zarozumiałością nie obrazić areopagu redakcyjnego, sięgam cichutko po moje najmilsze liściki.

Ten najpierwszy to od **Laszki**. Kochana Laszka jedzie do Częstochowy i obiecuje się tam modlić za całe nasze grono. O tak Laszko! poleć nas opiece Królowej Niebios, niech da rychłe i pomyślne żniwa głodnym po nieurodzaju, niech wspiera młode dusze w pracy około udoskonalenia serc i charakterów, niech mnie waszą Jaskółkę natchnie słowami miłości, które trafiłyby do was, budząc zapal dla szlachetnych czynów.

Jest w skrzynce list i od drugiej **Laszki**, tej **Budrysowej**, co to pyta, czy ją pamiętam, jakgdybym ja kiedykolwiek zapomniała o moich korespondentach. Znaczenie wyrazów objaśnia zazwyczaj redakcyja, sprobuję jednak wytłomaczyć ci wyraz *emancypantka*. Jest on łacińskiego pochodzenia i dosłownie znaczy *wyzwalająca się*. Od lat kilkudziesięciu w wychowywaniu dziewcząt i stanowisku społecznem kobiet zaszły zmiany: wyzwolono je od różnych przestarzałych form, a ułatwiono zdobycie pracą niezależności i samodzielności. Emancypantkami nazywają więc czasami kobiety, dążące do zdobycia nowego pola pracy, szerszych praw dla całej rzeszy swych towarzyszek i sióstr, tak w kształceniu się (dostęp do uniwersytetu) jak w życiu ekonomicznem i społecznem. Nie zawiera zatem wyraz *emancypacja* nic ubliżającego, pamiętajmy jednak o tem, że najszlachetniejszą sprawę można popsuć i wykrzywić; tak właśnie bywa i z emancypacją. Były i są kobiety, które w emancypacji widziały tylko zerwanie z obowiązkami, nakazanymi przez religię i wymagania dobra społecznego i z przymiotami, cechującymi od wieków naszą pleć. Strajamy się o prawa do nauki, pracy, ale zachowujemy hasło przekazane nam z przeszłości, że szczęściem kobiety poświęcić siebie dla drugih.

Oto co pisze kochana **Lilijka**: „Czytałam w ostatniej skrzynce, że Jaskółka pragnie odebrać jaknajwięcej listów z wiadomością o dobrem zdaniu egzaminów, śpieszę więc do-

nieść, że zdałam na same prawie czwórki, co na naszej pensyi jest bardzo rzadkiem”. Dziękuję, Lilijko, za doznaną przez ciebie radość, a na przyszły rok życzę ci piątek.

„Wlazł **Kotek z Pilawy** na płotek i chwalił się ze swoich łakotek”. Tak, tak, Kotku, łykam ślinkę, słuchając o koszach truskawek i o dzieżach malin, rozsyłanych znajomym. Frunęłabym dziobać wasze przysmaki i cieszyć się niemi, jak cieszy mnie każde bogactwo płodów, bo u nas tak mało dotąd dbają o ogrody. Gdy wszyscy uprawiać je zaczną starannie, owoce przestaną być zbytkiem i biedne dzieciaki, o które martwisz się Koteczko, że chleb dla nich podrożał, będą mogły zjadać go razem ze smaczniemi jagodami. A właśnie w tych dniach na zebraniu delegacyi gospodyń w Muzeum słyszała wasza Jaskółka projekt założenia szkoły ogrodniczej dla kobiet. „Jeśli się znajdzie dziesięć chętnych uczennic, otworzę dla nich kurs ogrodnictwa w Chyliczkach” powiedziała panna Plater, która tyle już zdziałała dobrego na polu wychowania. Czy więc znajdzie się 10 chętnych pracownic? w tem sęk.

Opis twojej wycieczki, **Polko**, wcale mnie nie pobudził do śmiechu, bo skreślony był barwnie i stylem zdradzającym dużą wprawę w pisaniu. Pytasz, czy widok pól i łąk sprawia na mnie wrażenie, a przecież Jaskółka to ptak wiejskiej strzechy, czuje się tam ona daleko swobodniejszą niż na miejskim bruku. Ale gdziekolwiek los nas postawi, winniśmy czuć się zadowoleni, a pełnić służbę obowiązku, jak pełni ją dobry żołnierz, z wiarą i nadzieją, to znaczy dorzucać swoją cegiełkę do gmachu dobra ludzkości. Więc staram się przystosować do miejskiego życia i zamiast podziwiać barwny kobierzec łąk, patrzę z miłością na szary tłum płynący ulicami, prosząc Boga, by w tym tłumie wykwitwały jaknajbujniej dusze wybrane, które potrafią ogrzać go swem sercem i pociągnąć przykładem ku dobremu.

Daruj, **Polski Chłopczyno**, że odpisuję ci jeszcze raz pod dawnym pseudonimem, ale mam do tego dwa ważne powody. Najprzód bardzo mi się podoba, a potem ten, który teraz wybrałeś, uważam za mniej stosowny. Jeśli więc trwasz w zamiarze zapuszczenia przyłbicy, żeby zmylić domysły, to musisz mój rycerzu wybrać sobie inny znak, ja chętnie pasować cię będę na naszego korespondenta. Mogłabym odmówić zuchowi, który dobrze zdał egzamin do II-ej klasy i który tak kocha kolegów, że nawet dla wsi opuszcza ich z przykrością. Wszystko co mi o nich piszesz, bardzo mi zajęło, trwaj dalej, Chłopczyno, w szlachetnem usiłowaniu skierowania towarzyszy do dobrego.

Wam, **Wieśniaczko, Powiślanko, Polska Dziewczyno**, a także pewnie **Cioci Ewie** zawdzięczam wielką radość. Zebrane przez was 8 rub. 33 kop. będą pierwszą cegiełką w dziele „Grosza Wieczorów”, dzięki któremu w roku przyszłym wysłemy z Bożą pomocą gromadkę dzieciaków na kolonie letnie. Znam wasze serca, piskłeta moje, wiem że nie lękacie pochwał za czyn pocziwy i to mi was czyni tem więcej drogiemi. Redakcyja przychyliła się do waszych życzeń i odtąd fundusz otrzymywany za zużyte marki przeznaczony także będzie na powiększenie „Grosza Wieczorów”.

A teraz swobodnie używajcie wsi, radujcie oczy zielenością łąk i szumem rzek, bo dzięki waszemu zapoczątkowaniu na rok przyszły z tych samych darów Bożych korzystać będą ubodzy bracia wasi. Jaskółka raz już tylko przed wyjazdem odpisze, bo wyfrunie z gniazda za tydzień, a krążąc nad białemi dworkami, świergotać będzie do swoich piskląt i troskać się o nie, i pieścić myślą, i kochać.

Jaskółka.

P. S. Kilka listów jeszcze zostało w mej teczce, odpowiedzi odłożę muszę na przyszły tydzień.

